

Zdania bardzo machane

Odkąd pamiętam, regularnie kompromituje mnie pewien żalostny tik nerwowy, na chama i bezkarnie wiążący świat gestów ze światem słów. Dawniej, gdy byłem zbyt smarkaty na zegarek, albo dziś, gdy zegarek w naprawie, obojętne - zawsze ta sama głupota mnie dopada, jak o czas pytam. Gdy na górze buźka ma w maskę przymilności się organizuje, a z gardła wyskakuje pierwsza litera ciepłego szeptu: Przepraszam, któraż to godzinka? - na dole łapy moje błyskawicznie suną w górę i ostro hamują przy sercu, po czym wskazujący lewej dłoni wręcz litera po literze puka rytmicznie w nadgarstek lewy.

Niebywały wstyd! Na dokładkę - z reguły w miejscu publicznym! Wstyd, bo niezbitnie wychodzi, że jeśli tik mój w czyn oto wprowadzam - to musiałem założyć, iż człek przeze mnie zagadnięty jest kretynem studziennym, który nie pojmie, jak mu „cepmi” nie wyjaśnię tego, co gadam! Co drugi raz finał tiku jest więc jednaki i słuszny - zagadnięty obywatel ostro mnie opieprza za pusty, kompletnie zbędny i napaśliwy barok ruchowy kończyn

górnych. Opieprzają, ale to żadna kara, niestety. Za godzinę podejmuję wstydlawy proceder...

Tak, od lat kompromituje mnie tik nachalnie wiążący słowo z gestem, więc pewnikiem dlatego na premierze wyreżyserowanego przez Jerzego Gruzę monodramu Geraldine Aron „Mój boski rozwód”, ściślej - przez pierwszą kwadrans, czułem się świetnie. Patrzyłem na samotną aktorkę Krystynę Podleską i było tak, jakbym siebie widział, siebie, gdy kogoś o godzinę pytam. Okazuje się, że Podleska też macha, gdy gada! Co, nawiasem mówiąc, pięknie tłumaczy, dlaczego od początku do końca jest sama. Otóż, na scenie tkwi jak palec, bo nikt nie lubi, jak mu czyjeś kończyny przed nosem pływają. Monodram jako owoc nadmiaru „cepa” - to jest mocna rzecz!

Wszystko to cieszy, nawet bardzo, ale jednak nie mogę nie

zauważyć różnicy. Przepaść między mną a Podleską w tym, że o ile ja - gdy o czas pytam - miałem powietrze kończynami wyłącznie górnymi, o tyle Podleska - gdy żale bohaterki Aron nam komunikuje - macha wszystkim, czym się da. Ruchowy barok Podleskiej to barok totalny, barok rąk, nóg, twarzy, warg, szyi, włosów, powiek, stóp, pleców, czota, brzucha oraz ucha. Barok baroków! Barok monstualny, wszędobylski, ciągły niczym ciągły ogień z kałasznikowa, morderczy i nie do zabicia. Barok babiloński!

Podleska gra niewiastę, którą mąż porzucił dla młodszej. Na dokładkę - córka też odeszła, bo dorosła jest, odeszła bodaj z muzykiem. I nasza bidulka w solidnie rozwiniętym kwiecie wieku stoi teraz w swym opuszczonym domu i docieka, jak doszło do samotności. Oraz jak to się szczęśliwie

stało, że po wieloletnich, uczuciowych ciemnych przejściach swych - przy wspomnieniu pewnego, od lat z rodziną zaprzyjaźnionego medyka, wreszcie znalazła w życiu szczęście, co się zowie! Ale do tego dojdzie w finale. Póki co, baję o przeszłości. Słuchamy jej my, widzowie, oraz jedyna istota, która gadającej nie opuściła. Wierny, milczący, biały pies...

Jako się rzekło - godzina baroku babilońskiego. Nieustający płas słowa z ruchem. Spizowe pokazywactwo. Podleska istic pajęczą siecią nieustających tików ciała oblepia wszystko, o czym mówi. Wszystko, oprócz frazy: „kiedy mu robiłam loda”. Dlaczego wszystko - tak, a akurat loda - nie? Zostawiam to, nie moja sprawa. Tym zaniechaniem reżyser Gruza winien się zająć, nie ja. Grunt, że przez godzinę z niezłym hakiem na scenie jest ściślej tak, jak powiedziałem.

Co na języku Podleskiej - to w tej samej sekundzie w geście dtoni Podleskiej. Bohaterka o wstrętnym, niewiernym mężu swym mawia jak o Indianinie jakimś: Okrągła Głowa. I wtedy Podleska dłońmi czyni w powietrzu gest taki, jakby strusie jajo głaskała. Gdy bohaterka gada, że jej zimno - to co wtedy czyni Podleska? No, zgadnijcie? Dobrze, powiem, bo w życiu na to nie wpadniecie. Otóż, gdy mowa o zimnie - Podleska trzęsie się niczym przysłowiowa osika! Szkoła dalej wymieniać. Co na wargach - to w zyle tańczącej na szyi. Co w zdaniu - to w kicaniu. Co w słowie - to w dyndającej nóżki, która się chyba do jakiegoś szalonego oberka szykuje.

Słowem, recytatorsko-gimnastyczne masło maślane. A efekt taki, że miast wstrząsającego monodramu o duchowych cierpieniach porzuconej niewiasty - za jednym zamachem mamy

wstrząsy dwa. Jak w boksie - ogłuszyć widza lewym prostym recytacji i dobić prawym sierpem ćwiczeń wszechstronnie korekcyjnych. Zamiast byśmy nieszczęsne banały Aron z godnością przyjęli, rzekłbym, w mono, zmusza się nas, byśmy je z godnością przyjęli - podane w stereo. Niestety, dzieło Aron jest niemożliwe nawet dla głuchego i niewidomego. Co zatem pozostaje? Współczucie.

Współczuję więc. Białemu psu. Bo wprawdzie jest tylko wlochatą przutulanką, ale i tak widać, że z każdym słowo-gestem Podleskiej czuje się solidniej niezwywy. Okrągłej Głowie. Bo nawet minutkę wytrzymać z niewiastą, co bez ustanku gdać w drugiej potędze - to tragedia dantejska. No i samej Podleskiej współczuję. Ale i nie dziwię się, że macha jak najęta. Gdy się ma do przekazania ludziom literacką „perłę” Aron - dobrze jest dać sobie szansę i spróbować za machać się na śmierć.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. Geraldine Aron „Mój boski rozwód”. Reżyseria Jerzy Gruza. Scenografia i kostiumy Wojciech Stefaniak.